

Anna Kańtoch

Angevina

Martwy mężczyzna był bardzo młody, niewiele starszy ode mnie. Leżał na plecach w płytkim jeziorku, a woda zamarzała nad jego ciałem. Ponad oszronioną powierzchnię wystawały tylko palce prawej dłoni, białe i podkurczone, kolano, kawałek uda, a także czubek głowy - jasne włosy zlepione były w cienkie sople i oproszone śniegiem. Jarguel przetarł lodową taflę, dojrzałem wtedy twarz młodzieńca. Jego skóra była bardzo blada, z natury albo z powodu śmierci - tego nie mogę powiedzieć. Szeroko otwarte oczy miały niebieski kolor.

Stałem nad nim, dygocząc z zimna w cienkim płaszczu. Mróz przyszedł niespodziewanie nad ranem i ściał lodem pełne błota jesienne drogi i pola. Padał śnieg, pierwszy tej zimy. Ziemię pokrywała warstwa białego puchu, wciąż jeszcze cienka, z wystającymi martwymi liśćmi. Obuwie zostawiało w śniegu płytkie, błotniste ślady. Z nieba koloru ołowiu sypał śnieg, mokry i gęstszy z każdą chwilą.

Jarguel rozbił obcasem skorupę lodu i krzyknął, bym pomógł mu przenieść trupa na wóz. Ciało było ciężkie, sztywne i bardzo zimne. Nie miałem rękawiczek, więc szybko poczułem, jak grabieją mi palce.

- Zdziczałe psy albo wilki - powiedział Jarguel, wskazując ranę na szyi młodzieńca, a potem na ciemną ścianę lasu, przy której leżało jezioro.

Naciągnąłem rękawy płaszcza, by ogrzać dłonie, i udałem, że nie robi to na mnie żadnego wrażenia.

Od strony miasteczka zbliżały się głosy. Słyszałem wyraźnie kobiecy szloch i nie odwróciłem się. Pomyślałem, że to musi być matka, siostra bądź narzeczona zmarłego. Płacz nic nie pomoże. Młodzieniec już do niej nie należał. Tylko do mnie i Jarguela.

Twarc Jarguela zatarła się w mojej pamięci. Przypominam sobie, że był niewysokim, kościstym mężczyzną, z takich, którzy do późnego wieku zachowują siłę i zdrowie. Znacznie lepiej pamiętam jego charakter. Ludzie unikali nas i gardzili nami. Jarguel udawał pogodzonego z losem, skromnego człowieka. Dziś z perspektywy czasu widzę, że wiele w nim było gniewu i goryczy. Nauczył się gardzić tymi, którzy gardzili nim. To czasem się zdarza. Człowiek upokorzony broni się, wyobrażając sobie, że jest szlachetniejszy i więcej wart niż ci, którzy go upokarzają; za znośną cierpliwie pogardę spodziewa się nagrody w Niebie. Czasem to przekonanie jest tak silne, że gdy pojawia się nadzieja na odmianę losu, człowiek taki odrzuca ją, bo boi się, że straci w ten sposób swoją wyjątkowość. Dlatego Jarguel wierzył, iż jego powołaniem jest wyprawianie w ostatnią drogę umarłych i nie przyjąłby innej pracy, nawet gdyby miał ku temu okazję. Gorzej pamiętam jego żonę, Fermine. Była pulchna, milcząca i z tą samą dokładną troskliwością zajmowała się zarówno domem, jak i martwymi ciałami. Wzbudzało to we mnie niechęć. Pamiętam jej palce trzymające wilgotną gąbkę i łagodnymi, głaszczącymi

ruchami przesuwające się po zimnej skórze, a później te same palce prasujące bieliznę czy rozkładające na stole obrus.

Były jeszcze dzieci. Starsze, dziewczynka, miała na imię Camille, imienia chłopca nie pamiętam. Do moich obowiązków należało także zajmowanie się nimi. Nie wywiązywałem się z tego zbyt dobrze.

Martwy młodzieniec był synem miejscowego bankiera, nazywał się Simon Meury. W południe jego matka przyniosła ubranie, w którym miał być pochowany, i wybrała trumnę - ładną, zgrabną, z sosnowego drewna. Miała przy tym miejsce nieprzyjemna scena. Oskarżono mnie o kradzież krzyżyka na złotym łańcuszku, który Simon nosił na szyi od dnia Pierwszej Komunii Świętej. Płonąc ze wstydu i oburzenia, nie mogłem wykrztusić ani słowa, lecz Jarguel wziął mnie w obronę, argumentując, że pochodzę z uczciwej rodziny, a on zna się na ludziach i przenigdy nie przyjąłby na naukę złodzieja. Kobieta dała się przekonać, że łańcuszek zerwał się podczas szamotaniny z wilkiem i upadł w śnieg. Po jej wyjściu zasiedliśmy do posiłku. Nie mogłem jeść. Nie mdlałem już ani nie wymiotowałem na widok głębokich ran czy z powodu smrodu rozkładającego się ciała, ale nadal, nawet w kilka godzin po znalezieniu pokiereszowanych zwłok, nie potrafiłem nic przełknąć. Fermine naląła mi kieliszek anyżówki, bym uspokoił żołądek. Potem poprosiła o pomoc przy obmywaniu ciała.

Trup odtajał już i wokół stołu, na którym leżał, utworzyła się kałuża. Ale mięśnie nadal były sztywne i by zdjąć zeń ubranie, musieliśmy je rozciąć ostrym nożem. Rzeczy zmarłego pali się zwyczajowo, gdyż nikt nie chciałby ich nosić. Czasem jednak w kieszeniach znajduje się drobne przedmioty, które należy oddać rodzinie. Zgodnie z naukami Jarguela sprawdziłem więc kieszeń płaszcza należącego do Simona. Była tam tylko mokra kartka. Położyłem ją przy piecu, a gdy wyschła, przekonałem się, że jest to list napisany ołówkiem, a więc bardziej czytelny, niż gdyby autor użył atramentu szybko rozmazującego się pod wpływem wody.

Bez trudu udało mi się odczytać imię adresatki: Angevina. Simon prosił o spotkanie przy jeziorze na skraju lasu. Pisał, że bardzo się o nią niepokoi w związku z mężczyzną, który- niedawno przybył do miasta i rozpytywał o nią i o jej opiekuna. Zrozumiałem, iż Simon uważał owego mężczyznę za wroga, który z jakiegoś powodu ściga dziewczynę, i to podnieciło moją ciekawość. Pojąłem też, że Simon Meury był zakochany w dziewczynie o imieniu Angevina i w mojej głowie pojawił się obraz młodej panny, pięknej i tragicznej, która właśnie straciła ukochanego. Chciałem ją poznać, chciałem poznać Angevinę. Pretekstem mogło być oddanie adresowanego do niej listu. Nie myślałem o tym, że być może nie wie ona o śmierci Simona, a ja będę pierwszym, który przyniesie jej złą nowinę. Nie myślałem o jej bólu ani o tym, by ją pocieszyć. Miałem szesnaście lat i działałem pod wpływem impulsu, zaś podglądanie cudzego życia - potajemnego romansu, niebezpieczeństwa i tragedii - wywoływało we mnie dreszcz podniecenia. Jeszcze tego samego dnia zacząłem rozpytywać o dziewczynę o imieniu Angevina. Było to niezwykle, stare imię i nie sądziłem, by wiele dziewcząt w naszym miasteczku je nosiło.

Dowiedziałem się tylko o jednej. Była przybraną córką pewnego mężczyzny (z pewnością byłego żołnierza, bo nosi się jak wojskowy), który przed kilkoma miesiącami przybył do miasta i wynajął dom.

Mężczyzna był treserem psów.

W naszym miasteczku jest mnóstwo psów. Psy tresuje się, by szukały w lesie trufli, do polowań i do stróżowania. Żaden dom nie obejdzie się bez dużego, złego kundla, uwiązanego przy budzie lub biegającego po ogrodzie. Żaden dom prócz naszego, gdyż psy bardzo źle reagują na obecność umarłych. Dlatego też okazałem się jedyną chyba osobą, która nie wiedziała, że miasteczko ma nowego tresera. Zamiast dziadka Luciena, którego znałem, gdy byłem jeszcze dzieckiem i mieszkalem z rodzicami, nastał ten obcy mężczyzna, Bauseli Morlay.

Powiedziano mi, że mieszka na obrzeżach miasta, za dębowym zagajnikiem. Trafiłem bez trudu, bo był to jedyny dom w tej okolicy.

Dom zbudowano z szarych, masywnych kamieni. Okiennice na piętrze były zamknięte, drewniany płot przesłaniał okna na parterze. Ponad sztachetami widziałem zdumiewająco prostą budowlę, bez przybudówek, ganku ani werandy, kwadratową i ciężką, oplecioną martwymi gałęziami bluszczu. Tylko w rogu ogrodu stało coś, co pewno wziąłbym za niewielką szopę, lecz wiedząc już, że Morlay jest szczęśliwym posiadaczem jednego z pięciu samochodów w naszym miasteczku, domyśliłem się, że to garaż. Brama była zamknięta na kłódkę, ale znajdująca się nieco dalej furtka wyglądała na otwartą.

Odetchnąłem głęboko zimnym powietrzem, zastanawiając się, czy mój nos nie jest aby czerwony od mrozu. Potem położyłem dłoń na furtce. Przyszło mi do głowy to, o czym powinienem pomyśleć wcześniej: że za chwilę spojrzę w oczy dziewczynie oplakującej ukochanego. Omal nie stchórzyłem, lecz było mi wstyd się wycofać.

W tym momencie z ogrodu doszedł dźwięk, który rozpoznałem od razu, mimo iż dzieciństwo miałem już za sobą.

Świst bicia przecinającego powietrze, a potem uderzającego o ciało. Czekałem na krzyk bitego dziecka, nic jednak nie usłyszałem. Po chwili świst powtórzył się, potem następny. Nadal nie było słyhać krzyków ani przekleństw. Samotny dźwięk w mroźnej ciszy. Jakby bicia nie trzymała ludzka ręka. Jakby pracował sam, w milczeniu katując milczące ciało. Nim zdążył ogarnąć mnie lęk nie do przewyciężenia, pchnąłem furtkę i wszedłem do ogrodu.

Na rogu domu po prawej stał mężczyzna, odwrócony tyłem. Wysoki, szeroki w barach, trzymał się bardzo prosto, faktycznie jak były żołnierz. Mimo mrozu nie miał na sobie palta, a rękawy koszuli podwinął, odsłaniając umięśnione ramiona.

Gdy znalazłem się w ogrodzie, podnosił właśnie rękę, by zadać kolejne uderzenie. Obserwowałem go przez chwilę. Nie wydawał się zmęczony ani rozwścieczony. Bił sumiennie z mechaniczną dokładnością.

Od furtki do głównego wejścia domu prowadziła wąska, wydeptana w śniegu ścieżka. Podeszedłem nią bliżej i ujrzałem, że Morlay - bo musiał to być on - bije psa uwiązanego do palika. Skręciłem w prawo i przeszedłem jeszcze kilkanaście kroków.

Palik i postronek wydawały się niepotrzebne. Zwierzę leżało bez ruchu na śniegu zbryzganym krwią. Bicz wyciął purpurowe, podłużne rany w jasnobrązowej sierści, odsłaniające mięso, a gdzieś tam i biel kości. Oczy psa zachodziły mgłą. Konał. Morlay opuścił bicz i odwrócił się. Wreszcie mnie dostrzegł. Jego twarz była raczej okrągła, ale kanciasty podbródek i zdecydowany wyraz oczu sprawiały, że wyglądał bardzo męsko. Włosy miał ciemne i krótko ścięte na żołnierską modłę. Mógł mieć jakieś czterdzieści do czterdziestu pięciu lat, a więc zgodnie z moim ówczesnym wyobrażeniem był niemal starcem, lecz - dobrze to pamiętam - trudno się było oprzeć wrażeniu siły promieniującej z jego barczystej postaci.

- Czego chcesz? - spytał chłodno, lecz bez złości.

Wystraszyłem się i jak dziecko spuściłem wzrok. Patrzyłem teraz na ziemię pod stopami. Leżało na niej coś, co w pierwszej chwili wziąłem za martwe gąsienice, brązowe i włochate z jednej strony, różowe zaś z drugiej. Ale oczywiście nie były to gąsienice, lecz strzępki psiej skóry, i gdy to zrozumiałem, poczułem uderzającą mi do głowy falę gorąca, a moje kolana stały się miękkie jak masło. Rankiem nie zdążyłem zjeść śniadania, później nie brałem do ust niczego prócz wody i kieliszka anyżówki, tak więc po prostu zemdląłem.

Wracałem do przytomności, czując na czole przyjemnie chłodny dotyk wilgotnej szmatki. Otworzyłem oczy. Pochylała się nade mną dziewczyna, bardzo piękna dziewczyna, o bladej, wąskiej twarzy rusalki i wielkich, błękitnych oczach. Z białą skórą kontrastowała czernь rozpuszczonych włosów, które wydawały się zbyt ciężkie i długie, by nosiła je tak delikatna główka.

Angevina.

Chciałem coś powiedzieć, lecz brakło mi słów. Wstydzilem się mojej słabości, sądziłem, że piękna dziewczyna nigdy nie zechce przychylnie spojrzeć na kogoś, kto mdleje na widok bitego psa.

Pragnąłem na powrót stracić przytomność, lecz było to niemożliwe. Mamrotałem coś niewyraźnie, aż przerwał mi odgłos otwieranych drzwi. Do pokoju wszedł Bauseli Morlay, a ja, prócz upokarzającego wstydu, poczułem znajomy już strach. Leez on nawet nie zwrócił na mnie uwagi. Podszedł do Angeviny - wciąż siedziała przy moim łóżku, plecami do drzwi, a więc i do Morlaya - i wyciągnął rękę, jakby chciał dotknąć jej gęstych włosów, spływających na plecy. Jego dłoń wisiała przez chwilę w powietrzu. Zrezygnował. To była duża, silna dłoń z kwadratowo zakończonymi palcami. Pod paznokciami widać było ciemne półksiężycy. Mógł to być brud, ale mogła to też być - i jestem pewien, że była - po prostu krew.

- Już czas - powiedział cicho. - Chodź.

Skinęła głową. Morlay rzucił mi krótkie: „Zaczekaj tu”, a ja nie powiedziałem ani słowa.

Gdy wychodzili, jego duża dłoń spoczęła na chwilę na plecach dziewczyny.

Zostałem sam. Odetchnąłem, starając się uspokoić, i w tym momencie jak obuchem uderzyła mnie pewna myśl i znów poczułem słabość w kolanach, a serce na krótką chwilę przestało bić. Byłem głupcem, byłem podwójnym i potrójnym głupcem, bo nie skojarzyłem podstawowych faktów. Simon Meury prosił o spotkanie przy jeziorku na

skraju. List spoczywał w jego kieszeni, a więc nigdy nie został wysłany, a jednocześnie Simon stawiał się przecież na spotkanie. Stawił się i umarł tam. A więc list musiał być tylko brudnopisem - dlatego napisano go ołówkiem, a Angevina otrzymała inny egzemplarz, przepisany

ANNA KANTOCH

Rocznik 1976. Absolwentka orientalistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego (specjalność: arabistyka). Pracuje w jednym z katowickich biur podróży. Debiutowała w „Sefenoe fiction” (kwiecień 2004) opowiadaniem „Diabeł na wieży”. Jesienią 2004 Fabryka Stów wydała jej pierwszą książkę: „Miasto w zieleni i błękicie” - połączenie fantasy, kryminału i powieści obyczajowej. Kończy Ania dla tego wydawnictwa zbiór opowiadań o Domenicu Jordanie, bohaterze „Diabła na wieży”, zastanawiając się, czy nie zatytułować całości „Strażnik nocy”. Młodsza autorka lubi staroświeckie opowiadania grozy - widać to w „Angevinie” - i współczesną, nastrojową literaturę z pogranicza: powieści Neila Gaimana czy historyczno-obyczajową fantasy G. G. Kaya. (mp)

na czysto, Nie miałem więc już pretekstu, by przebywać w tym domu. Bo i po co? Po to, by wręczyć dziewczynie brudnopis listu od zmarłego ukochanego? Poczułem, jak moje policzki płoną wstydem.

Dom był cichy, nie słyszałem głosów Morlaya ani Angeviny. Wyjrzałem ostrożnie na korytarz. Był pusty. Skradając się na palcach, pomknąłem w stronę wyjścia. Gdy wyglądałem przez uchylone drzwi, Morlay i Angevina pochylali się nad leżącym w śniegu psem. Stali niedaleko, ale za wszelką cenę chciałem wydostać się z ich domu. Odetchnąłem, zbierając się na odwagę i zanosząc modły, by żadne z nich nie odwróciło się w nieodpowiednim momencie. Chwilę później mknąłem już ścieżką w stronę furty tak szybko, jakby ścigał mnie diabeł.

List podarłem, ale nie potrafiłem zapomnieć jego treści, a nade wszystko nie potrafiłem wyrzucić z pamięci twarzy Angeviny. Dręczyło mnie wspomnienie tamtego popołudnia - omdlenia, a potem pospiesznej ucieczki bez słowa. Postąpiłem jak głupiec i spędzałem teraz godziny, wyobrażając sobie, że mógłbym zachować się zupełnie inaczej. Mógłbym przyjść do domu Angeviny nie z tym nieszczęsnym listem, lecz po prostu po to, by wyrazić współczucie i pocieszyć ją. Zawarłbym z nią w ten sposób znajomość, a później... cóż, młodzieńcza wyobraźnia podsuwała, mi obrazy, w których występowałem w roli bohatera, chroniąc dziewczynę przed tajemniczym mężczyzną z listu, i stopniowo zajmowałem w jej sercu miejsce zmarłego Simona.

Nie miałem jednak odwagi, by wracać do jej domu i naprawić to, co zepsułem. Raz ujrzałem Angewinę na ulicy, spacerującą pod ramię z przybranym ojcem -, ona tuliła się do niego z ufnością, on obejmował ją ostrożnie, jakby była ze szkła. Nawet wtedy nie zdobyłem się, by podejść i cokolwiek wyjaśnić. Zaczzerwieniłem się tylko i pospiesznie przeszedłem na drugą stronę, a później przeklinałem swoją głupotę.

Tak minął tydzień. Simon Meury spoczął na cmentarzu. Grób wykopany w zmarzniętej ziemi był płytki, zaś ceremonia pogrzebowa - odprawiona podczas zimy, gdy płomienie lamp gasły za szkłem, a wiatr porywał słowa księdza - bardzo krótka.

W niedzielę w kościele znów ujrzałem Angevinę. Usiadłem tak, by móc ją obserwować, samemu nie będąc widzianym. Była w towarzystwie Morlaya i Ryżego Jacoba, którego znałem od dzieciństwa. Dwa lata starszy ode mnie, pracował w sklepie swego ojca, lecz nie radził sobie z handlem, jak zresztą z niczym innym. Ryży Jacob był brzydki i niezgrabny, to zbyt milkliwy, to znów, gdy znalazł się w dużym towarzystwie, nadto skłonny do wybuchów irytującego śmiechu z byle głupiego żartu. Dziwiłem się, jakim cudem udało mu się zdobyć serce pięknej Ange-viny. Bo to, że zdobył jej serce, nie ulegało wątpliwości. W naszym miasteczku istniał zwyczaj - być może istnieje do dziś, wyjechałem stamtąd dawno temu - że jeśli dziewczyna pojawia się z chłopcem w kościele, to należy się spodziewać zapowiedzi, a potem ślubu.

Rzecz jasna nie było to jedyne pytanie, jakie mnie dręczyło. Zastanawiałem się, jak Angevina mogła tak szybko zapomnieć o Simonie i - przepelniony goryczą i gniewem - koniecznie chciałem jakoś ją jednak usprawiedliwić. Wyobraziłem sobie, że Angevina potajemnie kochała Simona i spotykała się z nim w sekrecie, a gdy zginął, z rozpaczy zgodziła się wyjść za Ryżego Jacoba, którego wybrał jej opiekun.

Byłem na tyle rozsądny, by szybko spostrzec, że ta teoria niewiele ma sensu. Simon Meury pochodził z rodziny bogatszej i bardziej szanowanej niż Ryży Jacob, i gdyby Morlay faktycznie pragnął dla swej przybranej córki męża, to Simon byłby o niebo lepszym kandydatem. Zauważyłem też, że Angevina wcale nie jest niechętna zalotom Ryżego Jacoba. Puszył się jak paw, a jego brzydka gęba, na której zazwyczaj malował się nieśmiały, głupi uśmieszek, pełna była buty. Obejmował Angevinę, każdym gestem, każdym spojrzeniem dając do zrozumienia, że należy teraz do niego, a ona się nie broniła. Co prawda nie wydawała się szczęśliwa. Zadowolona może tak, ale nie było w niej owego promieniającego szczęścia, którego spodziewamy się po młodej narzeczonej. Wydawała się zdumiewająco bierna, piękna twarz pozbawiona była wyrazu. Nie umiałem z niej nic wyczytać i - nie potrafiąc znaleźć innego wytłumaczenia - z ulgą wróciłem do poprzedniej teorii, uznając, że dziewczyna jest zubożniała, bo cierpi po śmierci Simona. Dwa lub trzy dni później przechodziłem ulicą, mijając szereg domków (w naszym mieście jest niewiele kamienic, choć i to oczywiście mogło się zmienić od czasu mojego wyjazdu), gdy niespodziewanie w jednym z ogrodów rozszczękał się pies. Nie zwróciłem na niego uwagi - gdyby nie autentyczna wściekłość w głosie zwierzęcia. Ujadał i warczał tak, jakbym uczynił krzywdę jemu albo jego panu. Dziwne, przecież nawet nie wszedłem na teren psa, a tylko spokojnie spacerowałem ulicą. On jednak koniecznie chciał mnie dopaść. Wściekle ujadając, rzucał się całym ciężarem ciała na sztachety i bałem się, że je wyłamie.

Stałem w bezpiecznej odległości i przyjrzałem się psu. To było to samo zwierzę, które widziałem zdychające przy domu Morlaya. Poznałem je po jasnobrazowej sierści i małej, czarnej łacie na pysku. Czy to było możliwe? Nie znam się na tym, ale przysięgłbym, że tamten pies kona i nic nie zdoła go uratować.

Podszedłem bliżej, spojrzałem na grzbiet zwierzęcia. Podłużne, szerokie blizny odcinające się od jasnej sierści przekonały mnie ostatecznie, że miałem rację. Właśnie to zwierzę Bauseli Morlay katował na moich oczach. Jakim cudem psu udało się nie tylko przeżyć, lecz także tak szybko wrócić do zdrowia?

Przeniosłem wzrok z grzbietu psa na jego oczy. To, co w nich ujrzałem, sprawiło, że cofnąłem się kilka kroków.

W jego oczach była nienawiść. Pojąłem, że tak można nienawidzić tylko tego, kto wyrządził ci krzywdę najgorszą z możliwych. Znow przed oczami stanął mi obraz unoszącego się i opadającego bicia oraz zwierzęcia konającego w śniegu ubrudzonym krwią.

Drzwi domu otworzyły się, kobiecy głos zawołał psa. I oto ujrzałem, jak to wściekłe, przepelnione żądzą mordy stworzenie podkuła ogon i skomląc, biegnie do swej pani. Pies łasił się do nóg kobiety, a gdy uniosła rękę, grożąc mu, rozpląszczył się przed nią niczym przerażony niewolnik błagający o łaskę.

Pokręciłem w zdumieniu głową.

Za plecami usłyszałem stłumiony kaszel, a potem śmiech. Odwróciłem się. Po drugiej stronie ulicy stał dziadek Lucien. Wychudł i postarzał się od czasu, gdy widziałem go po raz ostatni i zrozumiałem, że suchoty, na które cierpiał już wtedy, gdy byłem dzieckiem, wkrótce zabiorą go do grobu.

Skinął, zapraszając, bym doń dołączył. Przywitałem go, jak nakazuje szacunek dla starszych, on zaś objął mnie serdecznie. Poczułem się zakłopotany, jednocześnie było mi przyjemnie, gdyż odkąd rozpocząłem naukę u Jarguela, ludzie zbliżali się do mnie niechętnie.

- Ten pies... - zacząłem, gdy wypuścił mnie z objęć, i urwałem. Jak sformułować myśli tłukące się w mojej głowie?

- Właśnie, pies - zachichotał i znow zaniósł się kaszlem. Tym razem trwało to długo. Wyjął chustkę i przyłożył do ust. Gdy ją chował, dostrzegłem, że biel płótna jest splamiona krwią. Znow pomyślałem, że wkrótce będę zajmował się jego martwym ciałem. Zrobiło mi się smutno i zapomniałem o psie.

- Bauseli Morlay jest treserem - powiedział. - Doskonałym treserem. Dajesz mu psa, zwykłego niewychowanego kundla, który psoci, nie słucha i sika na podłogę w salonie, a on po kilku dniach zwraca ci zwierzę idealne, dokładnie takie, jakiego chciałeś. Ta kobieta na przykład boi się mieszkać sama, więc zażyczyła sobie psa, który będzie atakował każdego obcego, zaś wobec niej będzie łagodny i uległy.

- Przecież to niemożliwe.

- Co znaczy możliwe? Co znaczy niemożliwe? - zaśmiał się dziadek Lucien, ale w jego oczach nie było wesołości.

- Posłuchałbyś kiedyś ludzi w gospodzie. Ten spotkał w lesie rusalkę, inny znow wilkołaka. Jeden wierzy w czary, inny że odwiedza go duch zmarłego ojca. Może nie wszystko to bzdury?

- Myśli pan...

- Ja nic nie myślę - uciał. - Ale powiem ci jedno, chłopcze. Byłem treserem psów na długo przedtem, nim ty się urodziłeś. Uczyłem psy cierpliwością i miłością, a one w zamian

darzyły mnie sympatią. Lecz to, co robi ten człowiek... On łamie im dusze, pojmujesz? Łamie im dusze na drobniutkie kawałeczki, a potem składa z powrotem. Na tym polega jego nauka.

Słowa dziadka Luciena skierowały moje myśli na nowe tory. Dotąd sądziłem, że Angevinie grozi niebezpieczeństwo ze strony nieznanego mężczyzny, o którym Simon Meury wspominał w liście, lecz Morlay

- choć z pewnością ekscentryczny i okrutny, zawsze może ją obronić. Teraz przyszło mi do głowy, że prawdziwym zagrożeniem dla Angeviny może być Morlay. Człowiek, który potrafi złamać duszę psa i złożyć ją na powrót.

Chciałem porozmawiać z mężczyzną wymienionym w liście Simona. Być może wiedział coś o praktykach Morlaya i dlatego o niego wypytywał?

Trudność polegała na tym, że nie znałem nawet nazwiska tego człowieka. Wiedziałem tylko, że interesował się Morlayem i jego przybraną córką. Zacząłem obchodzić miejscowe gospody, lecz nie bardzo wiedząc, o co pytać, okazałem się niezręcznym i gospodarze przepędzali mnie, każąc zająć się swoimi sprawami. Zniechęciłem się szybko, ale nie zapomniałem o Angevinie.

Nazajutrz wróciłem pod jej dom. Stałem niedaleko, w szybko gęstniejącym zimowym zmroku, z głową wciągniętą w ramiona i postawionym kołnierzem płaszcza, który wcale nie chronił mnie przed wiatrem. Dygotałem z zimna i z powodu trawiącej moje ciało gorączki. Wiedziałem, że to, co robię, jest pozbawione sensu, lecz nie potrafiłem się powstrzymać. Codziennie, gdy tylko zapadł zmrok, zaczynałem krążyć wokół domu Angeviny, coraz bliżej, jak ośmielone zwierzę. Nie spotkałem żadnego z psów poddawanych tresurze i szybko doszedłem do wniosku, że Morlay wieczorami zamyka je w domu. Miałem więc wolną drogę i mogłem zrobić to, czego pragnąłem: wejść do ogrodu i zajrzeć przez okna, szukając wzrokiem Angeviny.

Jednak pewnego wieczoru, gdy zebrałem się na odwagę i przeskoczyłem płot, zdarzyło się coś, co nielicho mnie wystraszyło i jednocześnie podważyło moją teorię o psach zamykanych na noc.

Księżyc wisiał nisko na niebie, napęczniały i srebrzysto-różowy jak moneta naznaczona plamami krwi. Temperatura spadła o kilka stopni, ale tego nie czuło się, bo uciął wreszcie wiatr i zniknęła wisząca w powietrzu wilgoć. Tę mroźną, suchą noc z cienką warstwą zlodowaciałego śniegu trzeszczącą pod stopami uważałem za pogodną. Przeskoczyłem płot i ruszyłem w stronę oświetlonego okna. Przygarbiony, skradałem się ostrożnie, co niewiele miało sensu. Śnieg chrząścił pod butami, a moja sylwetka w ciemnym płaszczu odcinała się wyraźnie od srebrzystej, zalanej księżycowym światłem powierzchni ogrodu. Gdyby ktoś podszedł teraz do szyby, zauważyłby mnie z pewnością. W połowie drogi coś zwróciło moją uwagę. Nie był to odgłos otwieranego okna, nie był to także chrząst śniegu pod innymi stopami. To było po prostu... nie wiem, uczucie, że nie jestem już sam w ogrodzie.

Zamarłem w bezruchu, wstrzymując oddech. Potem wolniutko rozejrzałem się wokół. Przy furtce stał szary, wyrosnięty wilczur. Nie widziałem go wyraźnie - dostrzegłem tylko dwoje sterczących uszu i zarys pyska, a później, gdy zwierzę poruszyło się, smukłą,

pełną wdzięku sylwetkę. Trwało to chwilę i pies zniknął, jakby był tylko snem. Nie pobiegł w głąb ogrodu - zimowe krzewy i drzewa były nagie i nie zdołałyby się za nimi skryć.

Jedyną rozsądną, choć dość niepokojącą myślą było to, że pies wybiegł na drogę przez otwartą furtkę lub też przeskakując nad płotem.

O tym wszystkim pomyślałem później. Na razie wycofywałem się powoli, idąc tyłem po własnych śladach, bo nawet przez myśl mi nie przeszło, by podejść do furtki i - zakładając, że naprawdę została ona otwarta dla owego zagadkowego psa - wydostać się przez nią na drogę.

Wydarzenia następnych dni pamiętam niejasno, miesza mi się też ich kolejność, częściowo z powodu upływu lat, a częściowo dlatego, że byłem wówczas na wpół przytomny, niewyspany i rozgorączkowany.

Myślę jednak, że nim wreszcie udało mi się podejrzeć przez okno Angevinę wraz z Morlayem, odbyłem najpierw rozmowę z Marią Grieu.

Maria Grieu była największą plotkarką w naszym miasteczku. Jeśli ona czegoś nie wiedziała, to nie wiedział tego nikt. Dlatego przyszedłem do niej, by wypytać o Angevinę. Staruszka bała się mnie po trosze - a raczej zawodu, którego się uczyłem - i tłumiała ten strach niewybrednymi żartami. Nie lubiłem do niej chodzić, ale tego dnia byłem gotów znieść wszystko - nawet dowcipy o przedsiębiorcy pogrzebowym, którego można rozpoznać po unoszącej się wokół woni trupa.

Silenie się na wybiegi i sztuczki nie miało sensu - Maria Grieu była bystrą, ciętą w języku starowinką i przejrzałaby mnie w jednej chwili. Dlatego też po prostu zapukałem do drzwi, a gdy otworzyła, zapytałem o Angevinę i jej przybranego ojca.

Chwilę później siedziałem przy kominku, pijąc czarną kawę i jedząc ciasto. Ciasto było twarde i wyjątkowo niesmaczne, a Maria Grieu spoglądała na mnie tak, jakby z góry się na to cieszyła, że nie przypadnie mi do gustu. Paliła fajkę jak mężczyzna, wydmuchując dym w moją stronę, ja zaś z całych sił starałem się nie krzywić.

Gdy zjadłem już tyle ciasta, że odłożenie talerzyka nie wyglądało na nieuprzejmość, przypomniałem gospodyni o Angevinie.

- Ach - powiedziała. - Niewiele o niej wiadomo. Ani o nim, rzecz jasna. Tajemnicze postaci, ta panna Angelina pan Bauseli Morlay.

Zdanie to nie znaczyło, że Angevina i Morlay to tajemnicze postaci, lecz że są nimi dla reszty ludzi, ale nie dla Marii Grieu, która wie wszystko.

Nie zadałem pytania, a tylko wyczekująco spojrzałem na starowinkę. Czułem mdłości - może z powodu tego nieszczęsnego ciasta i dymu z fajki, może z powodu gorączki. A może też ze strachu, co powie Maria Grieu.

Staruszka chichotała chwilę, kręcąc się na fotelu, najwyraźniej ubawiona bladością mojej twarzy i głodem, a zarazem lękiem wyzierającymi mi z oczu. Potem raz jeszcze pyknęła z fajeczki.

- Ona jest dzikim dzieckiem, wiesz o tym? Spodziewałem się wszystkiego, najbardziej informacji,

że Angevina nie jest przybraną córką Morlaya, lecz jego kochanką. Ale nie tego.

Zdumienie było tak wielkie, że nie zrozumiałem, co staruszka powiedziała.

- Dzikim dzieckiem? - powtórzyłem bezmyślnie.

- Dzieckiem wychowanym w lesie - powtórzyła zirytowana moją tępotą. - Przez dzikie zwierzęta. Morlay znalazł ją, gdy miała pięć czy sześć lat, zabrał do siebie i wychował jak córkę. Przyznaję, że nieźle mu to wyszło. Dziewczyna wygląda na prawdziwą damę. Oczywiście jest strasznie... - udawała, że szuka właściwego słowa, wpatrując się we mnie z lubością - łatwa, lecz przecież to nie jej wina...
Cios trafił w próżnię. Wciąż gapilem się na Marię Grieu bezmyślnymi oczyma.
- Biedactwo potrzebuje miłości - powiedziała bardziej z gniewem niż złością. - A nie sądzę, by Morlay był zbyt czułym ojcem, choć - wyraz jej twarzy zmienił się i zachichotała - z drugiej strony może i jest nazbyt czuły. A przynajmniej chciałby być. Nieważne. Sieroty zawsze potrzebują miłości. Nigdy nie jest im dość. Jakby była w nich wielka, głodna dziura bez dna, w którą wrzucasz miłość i wrzucasz, lecz nie zdołasz jej zapełnić. Pojmujesz? Dlatego właśnie jest gotowa pójść z każdym, kto okaże jej cień sympatii. Nawet jeśli wygląda jak Ryży Jacob. Skoro tak zależy ci na tej dziewczynie, dlaczego i ty nie spróbujesz szczęścia? Nie sądzę, by ci odmówiła.
Dopiero teraz dotarły do mnie jej słowa. Zerwałem się na nogi, krzycząc głośno. Próbowałem bronić Angeviny i oskarżać staruszkę o bezduszność i złośliwość. O to, że nie ma pojęcia, jaka naprawdę jest Angevina.
Maria Grieu śmiała się zadowolona.

Mniej więcej w tym samym czasie, może w noc po owej rozmowie z Marią Grieu, może nieco później - podkradłem się wreszcie pod okna domu Angeviny i zajrzałem do środka. Byli tam we dwoje: ona i on. Poruszali się w takt muzyki, niesłyszalnej dla mnie, stojącego w ciemnościach z czołem przyciśniętym do zimnej szyby. Potem Morlay zmienił płytę w gramofonie i znów zaczęli tańczyć. Nie potrafiłem rozpoznać tańca, teraz jednak, bogatszy o doświadczenie tych wszystkich lat i wciąż mając tę scenę przed oczami wiem, że to był walc.

Twarzy Angeviny skrytej za ramieniem mężczyzny nie widziałem. Patrzyłem na niego, na Morlaya. Miał na wpół przymknięte oczy i jedynie temu zawdzięczam fakt, że nie zostałem odkryty.

Chciałem odejść, a przynajmniej odwrócić głowę, lecz nie mogłem. Zażenowanie, jakie odczuwałem, nazywając intymne sekrety obcego człowieka, walczyło we mnie ze wstrętem i rozgoryczeniem. Próbowałem dopasować wyraz twarzy Morlaya do skomplikowanej układanki, której głównymi postaciami byli on, Angevina i martwy Simon. Nie potrafiłem, choć czułem, że to, co widzę w twarzy mężczyzny, jest ważne, może nawet najważniejsze.

Dopiero gdy skończyła się płyta i Morlay wypuścił Angewinę z objęć, byłem w stanie odejść od okna. Pobiegłem przez ogród, nie dbając o to, czy ktoś mnie usłyszy. Przeskoczyłem płot i zatrzymałem się na skraju dębowego zagajnika, w miejscu, z którego pierwszej nocy obserwowałem dom.

Całkiem niespodziewanie nawet dla siebie rozplakałem się. Łkałem jak dziecko, uderzając pięściami w pień drzewa, trzeźwą cząstką umysłu tłumacząc sobie, że nie ma o co płakać, że to nie ma przecież żadnego znaczenia i naprawdę, ale to naprawdę nie ma powodów do płaczu.

Następnego dnia udałem się do domu Angeviny, w dzień, jak zwykły człowiek, a to dlatego, że Maria Grieu ubzdurała sobie, iż wyświadczy mi przysługę. Choć, znając jej charakter, może wcale nie była to przysługa. Może Maria Grieu od początku wiedziała, co z tego wyniknie i cieszyła się na swój paskudny, złośliwy sposób.

Tak czy inaczej staruszka kupiła psa, małego, nerwowego kundelka, którego piskliwy jazgot doprowadzał do szału. Tłumacząc się reumatyzmem, który nie pozwala jej zimą wychodzić z domu, poprosiła, bym zaprowadził zwierzę do Morlaya. Morlay miał zrobić z niego, jak to określiła, słodkiego, kanapowego pieska, w sam raz dla samotnej kobiety. Wpakowała mi w ramiona ujadający kłębek, który był tak maleńki, że niosłem go przez całą drogę i, nim zdążyłem zaprotestować, z chichotem zamknęła drzwi.

Nie pozostało mi nic innego, jak powędrować do domu Morlaya.

Ku mojemu zaskoczeniu Bauseli Morlay zachował się, jakbyśmy nigdy wcześniej się nie spotkali. Podąłem mu psa, starając się nie patrzeć mężczyźnie w oczy, bałem się, że odgadnie, iż widziałem go wczorajszej nocy.

Morlay złapał psa niezbyt delikatnie, ale też bez chęci zadawania bólu i wyniósł z pokoju. Znów zostałem sam i to dokładnie w tym samym saloniku, w którym poprzednio leżałem zemdlony na kanapie.

Z początku miałem ochotę, by znów uciec bez słowa, wiedziałem jednak, że po raz drugi tego nie zrobię. Poza tym odejście Morlaya ośmieliło mnie i sprawiło, że znów zbudziła się we mnie ciekawość. Pan tego domu był z pewnością kimś niezwykłym, lecz kim? Czy rację miał dziadek Lucien, mówiąc, że coś, co powszechnie uważa się za wysaną z palca bujdelę, może naraz okazać się prawdą?

Podszedłem do stojącego w rogu biurka i zacząłem cicho i ostrożnie przetrząsać szuflady. Nie znalazłem nic ciekawego. Prócz przyborów do pisania i rachunków było tam mnóstwo drobiazgów, w których nawet tak nieotrzaskany ze światem chłopak, jak wówczas ja, bez trudu rozpoznał pamiątki z różnych regionów kraju. Były tam muszelki i kamienie, zasuszone kwiaty, pocztówki, rzeźbione pudełka, obrazek skaczącego przez fale delfina i drugi, przedstawiający górala, mały statek w buteleczce, a także cała masa innych dość tandetnych przedmiotów. Były też zdjęcia, pasujące do owych przedmiotów - patrząc z perspektywy mego dzisiejszego doświadczenia nienaturalnie upozowane, czarno-białe postacie na tle różnych krajobrazów.

Wniosek nasuwał się sam - Morlay i Angevina byli wędrownymi ptakami i nigdzie długo nie zagrzewali miejsca. Czy i z naszego miasteczka wkrótce wyjadą? Mężczyzna wziął psa, nic nie wspominając o wyjeździe, ale przechodząc korytarzem, dostrzegłem w jednym z pokoi stojące na podłodze walizki. Morlay i jego przybrana córka nie mieli wiele rzeczy - żadnych książek, obrazów ani ciężkich bibelotów, a meble w domu nie należały do nich. Mogliby się spakować w kilka chwil.

Odsunąłem od siebie tę myśl.

Zainteresowało mnie szczególnie jedno pudełko, a właściwie mała szkatułka z czarnego drewna, zamknięta na zamek. Potrząsnąłem nią. Coś zagrzecotało w środku.

Rozejrzałem się w poszukiwaniu kluczyka.

Wtem drgnąłem i nadstawiłem uszu. Ktoś szedł korytarzem. Pospiesznie zacząłem upychać szkatułkę z powrotem w szufladzie. Jednak wcześniej leżała ona pod stosem owych drobiazgów i teraz, gdy drobiazgi znalazły się na dnie, za nic nie chciała się zmieścić. Próbowałem jedną ręką zgarnąć pamiątki i podnieść je, a drugą wepchnąć pod spód szkatułkę, nie. zdążyłem - drzwi otworzyły się. Morlay zastał mnie stojącego przy otwartej szufladzie biurka, ze szkatułką zamkniętą na klucz w dłoniach. Podszedł bliżej. Za nim wsunęła się do pokoju Angevina i została przy drzwiach. Morlay wyjął mi z ręki szkatułkę i położył na biurku. Nie zrobiłem nic. Po prostu stałem tak, trzęsąc się, z kompletną pustką w głowie.

- Co miałeś zamiar tu znaleźć?

Dopiero po chwili udało mi się wykrztusić odpowiedź.

- Ja tylko... Chciałem się dowiedzieć... Te psy. Jak i dlaczego?

- Jak, nie powiem ci, bo to moja tajemnica. A dlaczego? Bo są słabe. Utraciły swoją wolność, swoją dzikość i siłę. Tak czy inaczej stały się już niewolnikami ludzi, więc to, co ja im robię, nie jest dla nich żadną różnicą.

- Nie rozumiem.

- Nie. Oczywiście, że nie rozumiesz. Tacy jak ty nigdy nie rozumieją.

A potem ni stąd ni zowąd zmienił temat.

- Tak się składa - powiedział spokojnie, jakby nie było wcale incydentu z czarną szkatułką

- że ja i Angevina idziemy akurat w stronę rynku. Odprowadzimy cię.

Szedłem z Morlayem i Angeviną przez dębowy zagajnik. Mężczyzna został z tyłu, ja zaś dotrzymywałem towarzystwa dziewczynie. Powietrze wciąż było mroźne i suche, a słońce świeciło zimnym grudniowym blaskiem. Zagajnik pokrywała warstwa śniegu, niezbyt gruba - u nas zimy bywają raczej dżdżyste niż mroźne - ale wystarczająca, by sprawić, że krajobraz wyglądał jak z pocztówki. Pomyślałem, że będziemy mieć tego roku bardzo piękne święta.

Angevina szła lekkim, długim krokiem, tak blisko mnie, że czułem ciepło jej ciała.

Prowadziliśmy pozbawioną znaczenia konwersację. Ja niezdarne, jękając się i potykając na najbardziej banalnych zdaniach, Angevina zaś swobodnie, z wprawą dobrze wychowanej panienki. W pewnym momencie zapadło milczenie. Dziewczynie zdawało się to nie przeszkadzać, mnie cisza szybko zaczęła ciążyć i, nie mogąc wymyślić tematu dalszej rozmowy, desperacko zapytałem o Ryżego Jacoba.

Nawiązując do przygotowań, jakie dostrzegłem w domu Angeviny, świadczących o wyjeździe, zasugerowałem, że Morlay zabiera córkę z naszego miasteczka, by nie spotykała się więcej z Jacobem.

Roześmiała się i, ku mojemu przerażeniu, przywołała Morlaya. Powtórzyła mu moje słowa.

Spojrzał w zamyśleniu, a ja skuliłem się pod jego wzrokiem.

- Nie mam nic przeciwko temu, by Angevina spotykała się ze swoimi rówieśnikami - powiedział. - Wręcz przeciwnie. Chętnie witam w moim domu młodych ludzi. Przyjdź do nas, a przekonasz się, że mówię prawdę.

Zebrałem się na odwagę i podniosłem głowę. Twarz Morlaya miała ów szczególny, beznamiętny wyraz, który równie dobrze mógł oznaczać zarówno obojętność, jak i silne, tłumione emocje. Angevina uśmiechała się, ale jej uśmiech nie sięgał oczu. W oczach miała nie wesołość, lecz głód, o którym mówiła Maria Grieu.

Oto los sam wkładał mi w ręce to, czego tak bardzo pragnąłem. A jednak nie przyjąłem zaproszenia. Bałem się Morlaya, który nie mógł być przecież szczery, bo nie dałem mu powodów, by mnie polubił. Bałem się tego, co widziałem w oczach Angeviny i bałem się samej Angeviny, uśmiechniętej, wesołej Angeviny, nad którą wisi cień Si-mona Meury'ego leżącego z rozdartym gardłem pod cienką warstwą lodu.

Rzuciłem niemądrą wymówkę i pożegnałem się. Odszedłem, nie oglądając się za siebie.

- Czy zastałem... - omal nie powiedziałem „Ryżego” - Jacoba?

- Poszedł spotkać się z panią Angeviną - rzekła służąca i zamknęła mi drzwi przed nosem.

Podniosłem palec, by znów wcisnąć dzwonek i zapytać, o której chłopak wróci, lecz ktoś szarpnął mnie za ramię.

- Jesteś przyjacielem Jacoba?

Pytanie zadał chudy, dość krzepko wyglądający staruszek. Jego jasnobłękitne oczy patrzyły na mnie z nadzieją, a blada twarz, okolona kosmykami przetłuszczonych siwych włosów, była napięta jak struna skrzypiec.

Skinałem głową, choć w rzeczywistości nie byłem przyjacielem, tylko znajomym Jacoba. Ryży Jacob nie miał przyjaciół.

- Chodź. - Staruszek ciągnął mnie w stronę małego skwerku znajdującego się po drugiej stronie ulicy. Ławki były pokryte warstwą złodowaciałego śniegu i nie można było na nich usiąść, ale przynajmniej nie groziło nam tu stratowanie przez przechodniów, śpieszących ulicą w gorączce przedświątecznych zakupów.

- Kim pan jest?

- Pierre Cazeaux - przedstawił się, jednak nazwisko to nic mi nie mówiło. Widząc me zdumione spojrzenie, pospieszył z wyjaśnieniami.

- Przyjechałem z daleka, szukając Bausellego Morlaya i jego przybranej córki. Od dawna ich tropię. Jestem chyba jedyną osobą, która wie, kim on naprawdę jest. Ale nikt - nikt! - nie chce mi wierzyć! Uważają mnie za wariata, szaleńca...

W kątku jego ust pojawiła się odrobina piany. Wyciągnął ręce, by chwycić mnie i jak sądzę, potrząsnąć. Odsunąłem się przezornie. Starzec w istocie wyglądał na szaleńca.

W tym uprzytomniłem sobie, że musi to być człowiek, o którym Simon Meury wspominał w liście. Człowiek, którego sam bezskutecznie szukałem.

- Śmieją się ze mnie - ciągnął - a policja nawet nie chce spisać moich zeznań. Mówią, że opowiadam bajki. Czy ty wierzysz w bajki, chłopcze?

Jak zahipnotyzowany skinałem głową, wciąż w bezpiecznej odległości od starca, ale już gotów mu uwierzyć - po tym wszystkim, co ostatnio widziałem.

Pierre Cazeaux odetchnął.

- Trzeba ostrzec Jacoba. Morlay go zabije. W wilczej, nie w ludzkiej postaci. Nigdy nie pozwoli jej odejść.

Przed oczami stanął mi znajomy obraz. Martwy Simon Meury, leżący na wozie, i Jarguel, wskazujący ranę na jego szyi, a później niedaleką ścianę lasu.

- Zdziczałe psy albo wilki - mówi.

Teraz wiedziałem już, że nie były to wilki, a tylko jeden wilk, na co dzień noszący ludzką skórę.

Jacob poszedł spotkać się z panią Angeviną. Biegłem, zostawiając Pierre'a Cazeaux daleko z tyłu. Oczy zalewał mi pot, w płucach płonął ogień. W dębowym zagajniku przystanąłem na chwilę i zgiąłem się wpół, rozpaczliwie łapiąc oddech.

Wtem kątem oka dostrzegłem pomiędzy ośnieżonymi drzewami coś, co bluźnierczo plamiło ten pogodny, świąteczny krajobraz.

Odwróciłem się. Pod koroną wielkiego dębu leżało zakrwawione ciało. Ciało Jacoba - bez trudu mogłem dostrzec rudą czuprynę odcinającą się od śnieżnej bieli równie mocno, jak czerwień rany w jego gardle.

Podszedłem do niego. Pochyliłem się i dotknąłem dłoni chłopaka. Była jeszcze ciepła. Wyprostowałem się i rozejrzałem wokół.

Stali na skraju zagajnika: Morlay i Angevina. Ona naga

1 brudna, ze skołtunionymi włosami, pozwalała się otulać płaszczem. Potem on wziął ją pod ramię i poprowadził w stronę domu.

Zacisnąłem powieki i podniosłem je na powrót. Przez moment myślałem, że oślepiły mnie łzy, ale to był tylko pot, wciąż spływający z czoła i szybko stygnący w mroźnym powietrzu. Wilgotne ubranie lepilo mi się do ciała. Dygotałem, czując, jak zimno przenika mnie aż do kości.

Gdy miałem zamknięte oczy, pod powieki wsunął się obraz, który widziałem chwilę temu. Naga Angevina, stojąca na śniegu. Biel jej skóry, naznaczonej smugami brudu. Czarne, rozczochrane włosy spływające na piersi. Jej piękno i wdzięk. Niebezpieczny wdzięk dzikiego, leśnego stworzenia. Więc to nie on, lecz ona, dotarło do mnie. To Angevina nosi wilczą skórę, nie Morlay.

Ale nadal nie potrafiłem znaleźć odpowiedzi na pytanie: Dlaczego?

Wrzasnąłem i pobiegłem za nimi. Biegając, krzychałem, wymachując ramionami jak szalencie. Morlay obejrzał się, ale nawet nie przyspieszył. Prowadził Angevinę, podtrzymując ją, jakby była chora. Dogoniłem ich, gdy dotarli do domu. Tym razem brama była otwarta i stał w niej samochód. Klapa bagażnika pozostawała podniesiona, w środku leżały walizki.

Uczepiłem się ramienia Morlaya, bełkocząc bez sensu. Odepchnął mnie bez wysiłku, jak natrętne dziecko. Upadłem w śnieg. Chwilę trwało, nim, ślizgając się niezdarnie na oblodzonej ścieżce, zdołałem wstać.

Morlay i Angevina wchodzili do domu. Pobiegłem za nimi. Za późno. Drzwi zamknęły się, usłyszałem zgrzyt klucza przekręcanego w zamku. Uderzyłem pięścią w drzwi, raz, a potem drugi, coraz mocniej i mocniej, aż na kostkach pojawiły się krwawe ślady.

Na próżno. Odwróciłem się, spojrzałem w słońce. Zachodziło powoli, chowając się za dębowym zagajnikiem, lecz w momencie, gdy na nie patrzyłem, jeden krótki, ostry błysk prześliznął się ponad drzewami i dotarł aż do mego mózgu. Krzyknąłem, osłaniając oczy

ramieniem. Wzrok wrócił po chwili, ból w oczach zelżał. Poszedłem w stronę samochodu, wyciągnąłem z bagażnika jedną z walizek i kamieniem rozbiłem zamek.

Morlay i Angevina wyszli z domu, gdy przetrząsałem zawartość drugiej walizki.

Dziewczyna już była ubrana w suknię i zimowe palto, na nogach miała ciepłe buty, a jej dłonie chroniły skórzane rękawiczki. Wciąż wyglądała na otępiałą, jak człowiek, który obudził się po długiej chorobie, ale szła bez pomocy Morlaya. Wyobraziłem sobie - nie wiem, czy to było prawdą - mężczyznę, w skupieniu, powolnymi ruchami zmywającego brud z jej jasnej skóry, a później wciągającego na zgrabne ciało poszczególne sztuki wcześniej przygotowanej odzieży: bieliznę, pończochy, suknię...

Dziewczyna wsiadła do samochodu, nawet na mnie nie patrząc. Oparła czoło o szybę, przymknęła oczy. Na jej ustach igrał osobliwy, senny i zadowolony uśmiech.

Tym samym kamieniem rozbiłem zamek szkatułki z czarnego drewna. Zanurzyłem dłonie w chłodnej gęstwinie łańcuszków, medalików, spinek do krawatów i sygnetów. Męskich, niewiele wartych drobiazgów. Wyciągnąłem do Morlaya rękę, pomiędzy moimi palcami wisiał złoty łańcuszek z krzyżykiem, który Simon Meury nosił na szyi od dnia Pierwszej Komunii Świętej.

- To dlatego? - zapytałem. - Dlatego ona zabija? Dla tych drobiazgów?

- To tylko pamiątki. - Morlay obojętnie wzruszył ramionami. Jego twarz jak zwykle była pozbawiona wszelkiego wyrazu. A potem wypowiedział imię „Angevina” i w jego oczach pojawił się ból.

- Angevina... - powtórzył. - Gdy mężczyzna przebywa sam na sam z Angeviną, musi być świadom istnienia granicy, której nie wolno mu przekroczyć. Za żadną cenę nie wolno mu przekroczyć tej granicy. Bo ona zabija tych, którzy zbliżą się do niej za bardzo.

Pojmujesz?

Nie pojmowałem, ale zdawało mi się, że znalazłem wyjaśnienie.

- Wytresowałeś ją! Wytresowałeś ją jak psa, by zabijała! - wrzasnąłem.

- Dlaczego miałbym to robić? - powiedział cicho i spokojnie. - Zawsze taka była. Moja idealna Angevina. Nie niszczy się czegoś, co jest doskonałe.

Nadal nie rozumiałem. Z uporem wróciłem do tego, o czym myślałem wcześniej.

- Mordercy! - krzyknąłem, znów wyciągając drżące dłonie w stronę Morlaya. W jednej ręce trzymałem łańcuszek, w drugiej szkatułkę z czarnego drewna. - Złodzieje! Zabijacie, a później okradacie zwłoki!

Jego twarz wykrzywiła się konwulsyjnie w grymasie gniewu. Cofnąłem się, a on postąpił naprzód, wyrwał mi z rąk szkatułkę i łańcuszek i cisnął wszystko w śnieg.

- Tyle znaczą dla mnie te rzeczy - rzucił przez zaciśnięte zęby. - Nie więcej.

Potem wepchnąłem walizki do bagażnika, nie troszcząc się

o to, by je z powrotem spakować i zamknąć. Nie obejrzał się już, po prostu siadł za kierownicą i uruchomił silnik. Samochód ruszył, a ja zostałem sam, ze wspomnieniem gniewu Morlaya i kocim uśmiechem Angeviny pod powiekami.

U moich stóp leżały drobiazgi, które wypadły z czarnej skrzynki. W śniegu wesoło skrzyło się złoto i srebro.

Nie rozpląkałem się, choć chciałem to zrobić. Miałem wrażenie, że płacz, dziecinny płacz przywróciłby równowagę i znów mógłbym spoglądać na świat niewinnymi oczami.

Ale nie potrafiłem już płakać.

Podniosłem złote i srebrne drobiazgi, otrzepałem je ze śniegu i włożyłem do kieszeni płaszcza. Szkatułkę zostawiłem tam, gdzie leżała, nie zabrałem też psa Marii Grieu, którego żalosne szczekanie rozlegało się z głębi domu.

Już wtedy, patrząc na odjeżdżający samochód, wiedziałem w głębi duszy, że nie zrobię nic. Nikomu o tym nie opowiem, nikomu nie pokażę tych małych pamiątek, które zbierali Morlay i Angevina.

W momencie gdy mężczyzna cisnął mi pod nogi szkatułkę, przerzucił na mnie część swojej winy, a ja, wkładając ozdoby do kieszeni, obciążyłem się winą jeszcze większą. Nie potrafiłbym wytłumaczyć, dlaczego Morlay porzucił szkatułkę, a także dlaczego jej zawartość znalazła się w mojej kieszeni. Nikt by tego nie zrozumiał. Ja tego nie rozumiałem.

Tej nocy nie zmrużyłem oka. Bałem się, że odnajdzie mnie Pierre Cazeaux i zapyta, co wydarzyło się w dębowym zagajniku i pod domem Morlaya. Bałem się, że ktoś trafi na spoczywające w mej kieszeni łańcuszki, medaliki, sygnety... Leżąc w ciemnościach, czułem, że ozdoby płoną i lada moment przepalą materiał płaszcza.

Nic takiego się nie wydarzyło.

Ryży Jacob został uznany za jeszcze jedną ofiarę zdziczałych psów bądź głodnych wilków. Pierre Cazeaux, który, jak uprzytomniłem to sobie znacznie później, nawet nie znał mojego nazwiska, po prostu wyjechał z miasteczka.

Zawartość czarnej szkatułki zakopałem w lesie. Być może spoczywa tam do dzisiaj. Nie wiem. Nie chcę wiedzieć.

O Morlayu i Angevinie usłyszałem przypadkiem jeden raz, gdy mieszkałem już w innym, większym mieście, daleko od miejsca, w którym się urodziłem.

Zapytałem o nich.

Powiedziano mi, że mężczyzna i kobieta nazywający się tak i tak przejeżdżali przez to miasto niedawno. Zwrócili na siebie uwagę, bo ona była bardzo piękna, a on nosił się z godnością jak prawdziwy pan.

Śmiali się i wyglądali razem na bardzo szczęśliwych. Ktoś wspomniał nawet, że sprawiali wrażenie ludzi, którzy odnaleźli w życiu radość i spokój.

Wiedziałem, że nie jest to najbardziej prawdopodobne zakończenie tej historii.

Kańtoch Anna